

AGNIESZKA URBAŃSKA

SMUTKOJAD DOMOWY. OPOWIEŚĆ DZIKA I PRZYGODOWA

Zwierz, gdzie jesteś?

Z dumą patrzyłam na swoje odbicie w lustrze. W nowiusieńkim, błyszczącym hełmie rycerskim, kupionym w największym sklepie z zabawkami w mieście, czułam się wyjątkowo. To był najprawdziwszy ósmy cud świata. Wyposażono go w laserowy odstraszacz komarów, światełka odblaskowe i wiatraczek chłodzący. W takim nakryciu głowy byłam jak wojowniczką, która pokonała siedmiogłową bestię i uwolniła królewicza z rąk wrednego czarnoksiężnika. Nawet lampa w przedpokoju zachwyciła się mną, Kasią Lipką, i zamrugała olśniona.

Wystrojona i dumna nie mogłam wejść do kuchni spokojnie i cichutko. Wpadłam tam jak burza. I wtedy zobaczyłam na półeczce mamusi łzę, która lśniła, udając diament z najwspanialszego skarbcza na świecie.

Przytuliłam się do mamy i dałam buziaka.

– Córeczko, nie martw się! To nic takiego. Po prostu jakiś zabłąkany pyłek wpadł mi do oka – otarła oczy ulubioną chusteczką w konwalie. – Zrobimy kanapeczki? – zapytała.

– Pewnie! Bardzo poproszę o zwierzyniec! – podskoczyłam.

Zostawiłam hełm na półce w swoim pokoju, między konikiem w kratkę a wieżą z klocków w kolorze zielonym.

Foremkami w kształcie pingwinów, niedźwiedzi, królików, małp i papug wycinałyśmy z chleba tostowego zwierzaki. Potem smarowałyśmy masłem i kładłyśmy po plastrze sera albo wędliny. Jeszcze dekorowałyśmy kanapki częstkami warzyw: pomidorów, ogórków, rzodkiewek. Używałyśmy też oliwek i sałaty.

Uważnie przyglądałam się mamusi. Teraz nie dostrzegłam pod jej rzęsami migoczącej łezki, ale spojrzenie wciąż miała smutne. Nie zmieniło się to, choć żartowała i pokazywała, jak podczas zajadania pyszności ludziom i królikom trzęsą się uszy.

Gdy po kąpieli wieczornej, przebrana w pidżamę, leżałam w swoim łóżku i słuchałam maminej opowieści o markotnym pudlu i pancerniku-chichotniku, nie bardzo mogłam skoncentrować się na słowach. Zerkalam na hełm na półce. „Jakie zwierzę pasuje do wojowniczeki o dzielnym sercu?” – rozmyślałam. – „Może wilk o srebrnej sierści, który po najgęstszych lasach w najpotężniejszych królestwach porusza się zwinnie i lekko? Może tygrys potrafiący zamruczeć najdziksza i najpiękniejszą pieśń w dżungli? A taka krowa z wiejskiej łąki, dająca pyszne mleko i pozwalająca dekorować sobie rogi wiankami z mleczy albo stokrotek, też nie byłaby zła... Siedziałabym na jej grzbiecie i wymachiwała bosymi stopami. To byłoby cudowne”.

Mama opowiadała zmyśloną historię ciepłym głosem. Zdarzyło się jej nawet szczeknąć i zapiszczeć. Kiedyś z przyjaciółmi występowała w amatorskim teatrze, więc znała się na sztuce aktorskiej. Tego wieczoru, nucąc kołysankę, nieoczekiwanie zasnęła. Tylko westchnęła przez sen, już przyszedł mi do głowy doskonały pomysł. Otuliłam mamusię moją lekką koldrą i wyszeptałam:

– W naszym domu zamieszka smutkojad. Będzie opychać się smutkami jak wiewiórki orzechami, a krasnale poziomkami.

Jakoś udało mi się wygramolić z łóżka i nie obudzić mamy. Wiedziałam, że teraz nikt nie zagoni mnie do spania. Tatus był na wyjeździe służbowym, a Tymek, mój starszy brat, na górskim biwaku. Delikatnie wyjęłam kredki z pojemnika. Położyłam na podłodze blok rysunkowy i zajęłam się portretem smutkojada. To nie było łatwe zadanie. Nawet dla mnie, Kasi Lipki, dziewczynki o walecznym sercu.

Nie miałam pojęcia, jak może wyglądać stwór zajadający się smutkami. Musiałam zdać się na moją wyobraźnię i pozwolić jej działać. Najpierw narysowałam mordkę. Jedno oko było mniejsze, drugie większe. Uszy przypominały te, którymi wachlują się słonie i zupełnie nie pasowały do głowy. Zaczęłam trzeci papier gumką do mazania. Zrobiła się dziura. Ech!

Kolejny rysunek zaczęłam od stopy. Miała być zgrabna, z wypielęgnowanymi pazurkami, a wyszła mi kurza łapka. Wymyśliłam więc, że na następnym obrazku będzie ogon. Puszysty, śliczny, w kolorze kawy zabelonej mlekiem. Niestety, z grzebienia o rzadkich zębach, który narysowałam, na pewno nie byłby zadowolony żaden smutkojad.

Nad moim łóżkiem wisiał plakat z afrykańskimi zwierzętami. Spojrzałam na żyrafę i postanowiłam taką szyję podarować smutkojadkowi. Jeszcze go nie spotkałam, a już zdążyłam bardzo polubić. Narysowałam na kartce coś podobnego do sznurówki tylko dużo szerszego. Zamiast cętek ozdabiałam to żółciutkimi gwiazdkami. Przy trzeciej poczułam, jak bardzo kleją mi się powieki. I hop, hop, raz, dwa, wskoczyłam do krainy snu, w której dwa kudłate smutkojady wielkości piłeczek tenisowych głaskały mnie po policzkach.